

Z diety od pieluszki

Dietytycy całego świata — pisze w książce „Czy wiesz co jesz?” Irena Gumowska — uznali, że krowie mleko jest najzdrowszym pokarmem, że bez niego nie ma pełnego zdrowia. Zawiera wszystkie niezbędne dla rozwoju organizmu składniki.

MLEKO — SZKODZI

Tymczasem na niektóre dzieci (i dorosłych) działa ono niczym trucizna. Nawet niewielka dawka może spowodować wzmoty, ostre biegunki (u niemowląt) lub nudności, bóle brzucha, wzdęcia, powiększenie wątroby. Te dzieci po pewnym czasie dostają awersji już na sam widok białego płynu. Matki, wierząc w ów eliksir życia, próbują wówczas docierać do maleństwa z łyżeczką. Potem dochodzą inne zmartwienia. Dziecko chudnie.

nie mogą zaznać smaku np. drożdżowej bułeczki czy żółtego chleba; mleka, twarogu czy śmietany. Muszą być na diecie bezglutenowej i beznlecznej. Sytuacja nie jest łatwa, bo mleko zawiera wszystkie niezbędne dla rozwoju składniki. Mleko czy gluten powodują — po dłuższym czasie — niemal całkowity zanik kosmków dwunastnicy niezbędnych w procesie trawienia.

— Moje dziecko — mówi jedna z rozmówczyń — miało 8 miesięcy, kiedy podopieczna mi koleżanka, że nieprawidłowość w jego rozwoju mogła być związana z celiakią. Bezglutenową dietę zastosowałam na własną rękę. Potem wyliczyłam z posiłków mleko. Gdy ją z konieczności przerzywałam, bo brakowało mlekozastępczych preparatów, stan dziecka gwałtownie się pogarszał. Prawie do trzeciego roku życia — zwierza się

radni Dziecięcej przy ul. Nowotki. Tam wreszcie mogła otrzymać poradę również dzieci rodziców pracujących w PKP czy MSW.

A co z tymi z terenu, czyli w tym przypadku z Węgorzowa, Giżycka, Bakałarza czy Łomży. One nie mają „swojej” przychodni. W Białymstoku nikt ich nie zarejestruje, bo to inne województwo. Gdzie więc mogą skorzystać ze specjalistycznej pomocy? Kto im wyda zaświadczenie upoważniające do kupowania odpowiedniej żywności i mlekozastępczych preparatów? Kto wystawi wniosek do ZUS, lub na kartki o zwiększonym przydziale mięsa?

Również pod względem możliwości przestrzegania diety dzieci z terenu, zwłaszcza z miasteczek i wsi, są bardziej pokrzywdzone od tych z Białegostoku. Podstawą naszego żywienia jest mleko i potrawy mączne. W miejsce pierwszego

trzeba chorąm podać zastępcze mieszanek: Prosobee, Nutramigen, Portagen (wszystkie drogie i importowane). Nasze popularne zboża musi zastąpić ryż, kukurydza.

Chorze dzieci mogą na szczęście jeść mięso i warzywa, ale tylko najlepiej jakości. Mają one zastąpić białko mleka. Potrzebna jest więc szynka, polędwica, cielęcina, baleron, młoda wołowina, twierdą podrobę i mięso królika. Kiełbas należy unikać, bo mogą mieć niepożądane (w tej chorobie) domieszki, takie jak np. bulka czy kasza manna.

Matki z Białegostoku, w czasie spotkania zorganizowanego przez Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, narzekały na słabe zaopatrzenie specjalnie dla nich wydzielonego stoiska, w sklepie mięsnym przy ul. Lipowej.

Co zaś w tych układach może powiedzieć matka mieszkająca na wsi, w której nie ma nawet sklepu i której tradycja, i zwykła konieczność, każe zabijać prosiaka raz na pół roku i jeść prawie na okrągło konserwowane mięso? Tej nie tylko z np. Wygonowa, ale i z Siemiatycz jest również bardzo daleko do stoiska przy ul. Malmieda w Białymstoku, oferującego produkty dla dzieci będących na specjalnej diecie.

Skońsko jest poważną dolegliwością. Tylko dlatego tak rzadko spotykana w innych, chociażby byłych powiato-

wych miastach? Przecież to żaden kłopot stworzyć kawkę z „bezpiecznymi” produktami w jednym sklepie. Kierowniczka sklepu przy ul. Malmieda, Maria Galewska wyciąga opasłe zeszyty z napisami: „cukrzyca dorosłych”, „porażenie mózgowie”. Jest i „dieta bezglutenowa”. Rejestr w ostatnim zeszycie sięga ponad tysiąca nazwisk. Wpisane są na podstawie lekarskich zaświadczeń. Maria Galewska wątpi w prawdziwość niektórych z nich. Dowodem na to jest zachowanie się matek. Przyszłodzi, by kupić żelatynę, kwas cytrynowy, galaretki, soczki, pomarańcze, cytryny. (Za te dobra musiałyby ostro przepłacać na czarnym rynku). Konserwy owszem też kupują, ale nie te bezglutenowe. Mąka ryżowa czy kukurydziana nie interesuje ich.

A co mamy myśleć o lekarce — pytają ekspedientki — która na widok pomarańczę wypisuje swój koleżanę w sklepie „na kolanach” zaświadczenie „stwierdzające”, że zespół złośliwego wchłaniania u jej dziecka

Niektórzy robią interes również na mlekozastępczych preparatach. Na bazie można wytopić Proso-bee po 600 zł za opakowanie. (Na receptę kosztuje 10 razy taniej).

—

Jedną chorobą, a tyle uwarunkowań! Cały spłót zależności medycznych, organizacyjnych, gospodarczych, a nawet obojętnych. Jednak w tym konglomeracie najważniejszą stała się jak najwcześniejsza diagnoza chorego dziecka. Nie może być przecież tragicznych nieraz zaległości w momencie zetiżnienia się małego pacjenta ze służbą zdrowia. Choroba, którą umiemy leczyć, nie może stać takich spustoszeń.

W pierwszym więc rzędzie administracja służby zdrowia, zwłaszcza w województwie łomżyńskim i suwalskim powinna doprowadzić do utworzenia na swym terenie specjalistycznych poradni. Bo przecież kilku lekarzy — pasjonatów z Białegostoku problemu nie rozwiąże. Mogą oni tylko pomóc nadzieje — służby swą wiedzą przy odpowiednim szkoleniu kadr medycznych i rąk przy zabiegach organizacyjnych.

Byłoby to dopiero pierwszy krok w niesieniu pomocy chorąm dzieciom. Następnie należałoby do handlu, oświaty. Jak dużo tu jeszcze do zrobienia!

ANNA RADZIUKIEWICZ

Bunt małego organizmu

Zaczyna się nieraz cofać w swoim rozwoju psychicznym i fizycznym. Gdy nauczyło się słać, potem o tej zdolności jakby zapomina. Podobnie jest z chodzeniem, umiejętnościami manualnymi, mową.

Rozpoczynają się wizyty u lekarzy — najczęściej w rejonowej przychodni dziecięcej.

Nasze dzieci — zwierza się matki, które znały już istotę choroby — „jadły” na początku garściami antybiotyków, zapisywane z powodu biegunki. Poprawie nie było żadnej.

Moja córka — opowiada matka 6-letniej dziewczynki (ważącej w tej chwili 16 kg) ma za sobą — „reakcje wstrząsowe”. Zadeptywał o tym błąd w żywności. Obraz z tym błądem, wymiotującego dziecka, z wyraźnymi objawami duszności mam do dziś.

Reakcje wstrząsowe — czytamy w fachowej literaturze — mogą być jedną z głównych przyczyn nagłych zgonów niemowląt.

Są dzieci, których organizm buntuje się przeciw krowiemu mleku. Nie jest przystosowany do jego trawienia. Inna z kolei grupa podobnie reaguje na gluten (białko roślinne) zawarty w czterech podstawowych zbożach: życie, pszenicy, jęczmieniu i owsie. Są i takie, które przez całe życie — lub przez pewien jego okres,

każdym rokiem. (Prowadzi ona do powstawania zespołu złośliwego wchłaniania).

Według jego badań w 1978 r., spośród leczonych w szpitalach małych pacjentów, 3,5 proc. nie tolerowało mleka bądź glutenu. Potem ten wskaźnik przekroczył 5 proc. ogółu leczonych.

Jak podają inne źródła, ilość chorych na celiakię (niecierność glutenu) zwiększyła się w ostatnich 20 latach 3—5-krotnie. Czy jest to rzeczywisty wzrost, czy zwiększona wykrywalność choroby?

Można jedynie mówić — dowodzi doc. M. Kaczmarek — o 4—5-krotnie większym prawdopodobieństwie wystąpienia tej patologii u dziecka, w którego bliźszej lub dalszej rodzinie nie toleruje się glutenu bądź mleka lub choroby na cukrzycę albo schizofrenię. O chorobie decydują również „pomylki” genetyczne.

Jej prawidłowe leczenie pozornie wydawałoby się proste: obowiązuje „tylko” właściwe żywienie i zachowanie higieny.

LECZENIE OBJAWÓW

Objawy choroby na początku wyglądają nie zawsze tak, jak można o nich przeczytać w akademickich podręcznikach. Dlatego też trudno rozpoznąć, na co dziecko choruje. Raz są to dolegliwości typu nawracają-

JAK CHOROWAĆ, TO W BIAŁYMSTOKU

Dzieci z województwa białostockiego mogą się leczyć w Konsultacyjnej Poradni Gastroenterologicznej do spraw Opieki nad Matką, Dzieckiem i Młodzieżą w Białymstoku. Malcom z tego miasta, na próby ich matki, utworzono ostatnio punkt konsultacyjny w Po-

Z zagranicy

Przed wielkim finałem

Republika koszykówki

LITWA należy do tych republik radzieckich, w których koszykówka zajmuje pierwsze miejsce w sporcie. Sukcesy basketu sięgają lat trzydziestych. Piękne tradycje kontynuuje obecnie kowieński Zalgiris. W roku ubiegłym zdobył ponownie tytuł mistrza ZSRR, a w bieżącym przewodzi w lidze.

Najlepszy koszykarz Europy a zarazem najmocniejszy punkt Zalgirisu — Arvidas Sabonis w roku ubiegłym w wywiadzie dla „GW” powiedział: „Koszykówka w Kownie jest tak popularna jak hokej w Kanadzie, a piłka nożna w Brazylii”.

3 kwietnia w wielkim finale o Puchar Europy koszyka-

rzy zmierzą się w „Sport Csarnok” w Budapeszcie obrońca trofeum Cibona Zagrzeb i Zalgiris Kowno. Wiele wskazywało, że rywalami drużyny Cibona będzie ubiegłoroczny finalista madryckiego Real. Grał bowiem w ostatniej serii rozgrywek grupowych u siebie z Zalgirism. Mistrzowie ZSRR zagrali nadspodziewanie dobrze, wygrywając po bardzo zacietej grze 98:95. Bohaterem dnia nie był jak się spodziewano słynny Arvidas Sabonis. Zdobył 20 punktów, ale „ojciec zwycięstwa” Zalgirisu był Waldemaras Chomichius (27 pkt.).

(let)



Finałisti Pucharu Europy, koszykarze Zalgiris Kowno. Fot. APN



„Prometeusz” realizowany w Teatrze Dramatycznym. Fot.: ANDRZEJ WRZESIEŃ

Funkcjonowanie oświaty, a szkoły w szczególności, jest tematem, który interesuje praktycznie całe społeczeństwo. I nie dziwnego, skoro do szkoły uczęszcza co szósty — siódmy mieszkaniec kraju. Dyskutuje się o szkole permanentnie i z reguły krytycznie. Sądzimy zatem, że naszych Czytelników zainteresuje omówienie zamierzeń Ministerstwa Oświaty i Wychowania, które obszernie przedstawiła w ubiegłym czwartku w Łomży, podczas spotkania z nauczycielami, kierującą tym resortem — JOANNA MICHAŁOWSKA-GUMOWSKA.

Tęzę wyświadczenia wszystkich zamierzeń i działań resortu stanowi potrzeba zapewnienia szkole spokojnej pracy, co oznacza stworzenie takich warunków, by cały wysiłek można było w niej kierować na sprawy doskonalenia procesu edukacyjnego. Przy czym owe doskonalenie następować powinno bez ustawicznych reform i eksperymentów, które spotykają się z krytyczną oceną nie tylko kadr pedagogicznych.

Szczególną krytykę, i to już od momentu wprowadzenia, wzbudził zreformowany program nauczania w szkołach podstawowych. Co do tego, że jest on nadmiernie przeładowany, „zabiera” dzieciom... dzieciństwo, jest niemożliwy do zrealizowania w pełni, przekonani są właściwie wszyscy. Tylko

co z tego wynika?

Resort przystąpił do analizy programu nauczania w szkołach podstawowych. Ale wypowiedzieć się w tej sprawie powinni przede wszystkim sami nauczyciele, wskazując na to, z czego należy zrezygnować, co wprowadzić. Właściwe efekty można będzie uzyskać tylko poprzez współpracę naukowców z praktykami.

Na konieczność rozwiązywania problemów szkolnictwa w ścisłym współdziałaniu z nauczycielami minister Michałowska-Gumowska kładła nacisk wielokrotnie. Wskazy-

waloby to na metodę działań resortu w usprawnianiu nauczania. W przyszłym roku szkolnym nie powinno już zabraknąć podręczników dla szkół podstawowych. Jeżeli nie zajdą nadzwyczajne okoliczności, jeszcze przed zakończeniem obecnego roku szkolnego do uczniów powinno trafić 55 mln nowych egzemplarzy podręczników. Ich produkcję przygotowano tak, by dystrybucja nie obciążała nadmiernie nauczycieli podczas letniej kanikuły. Nadal utrzymana zostanie dotychczasowa forma wypożyczania uczniom książek nieodpłatnie, co z jednej strony służyć ma poszanowaniu

waloby to na metodę działań resortu w usprawnianiu nauczania.

W przyszłym roku szkolnym nie powinno już zabraknąć podręczników dla szkół podstawowych. Jeżeli nie zajdą nadzwyczajne okoliczności, jeszcze przed zakończeniem obecnego roku szkolnego do uczniów powinno trafić 55 mln nowych egzemplarzy podręczników. Ich produkcję przygotowano tak, by dystrybucja nie obciążała nadmiernie nauczycieli podczas letniej kanikuły. Nadal utrzymana zostanie dotychczasowa forma wypożyczania uczniom książek nieodpłatnie, co z jednej strony służyć ma poszanowaniu

podręczników, a z drugiej — ograniczyć ich nakład.

Zabraknie natomiast podręczników dla pierwszych klas szkół ponadpodstawowych. Nie zostały po prostu napisane. Zamiast nich nowy program realizować się będzie w oparciu o stare podręczniki uzupełnione — w przypadku języka polskiego, historii i geografii — o wydane metodą offsetową, suplementy.

Brak podręczników, a także ich niedostępnność, skłaniają do

powrotu do tradycji,

czyli zachęcania do ich pisania samych nauczycieli. Informacje o tym powinny w najbliższym czasie dotrzeć do zainteresowanych. Resort oczekuje na konspekty podręczników, zapewniając autorom najlepszych płatne urlopy i współpracę z naukowcami.

W 1990 roku do szkół uczęszczało na około 830 tys. uczniów, więcej niż obecnie, co



Scena z baśni „O Zwyrtale muzykancie” wystawionej przez Białostocki Teatr Lalek. Fot. ROMAN SIENKO

Plebiscyt został rozstrzygnięty

„PROMETEUSZ” i „O Zwyrtale muzykancie” — sztukami 1985 roku

Od wielu lat w „PLEBISCYcie NAJPOPULARNIEJSZY SPEKTAKL TEATRALNY” nie było tak gorącej atmosfery i zaskakujących zmian na liście.

Widzowie Białostockiego Teatru Lalek okazali się bardziej zdecydowani i jednomyślni. Spośród pięciu widowisk wystawionych do konkursu niemalże od początku do końca o pierwszą pozycję walczyły trzy tytuły: „Alicja w krainie czarów”, „Mała księżniczka” oraz baśń „O Zwyrtale muzykancie”. Ostatnie zwyciężył „Zwyrtala” gromadząc na swym koncie 747 głosów, na drugim miejscu (niespodzianka) znalazła się „Baśnia o rybaku i rybie” (315 głosów), „Mała księżniczka” zdołała utrzymać trzecią lokatę.

Natomiast w Teatrze Dramatycznym im. A. Węgierki sytuacja zmieniła się dosłownie co kilka dni. Najpierw największą liczbę zwolenników miał „Chory z urojenia” Moliere, potem na czoło wysunął się „Prometeusz” Jerzego Andrzejewskiego, wkrótce jednak zupełnie nie spodziewanie, obje sztuki zwyciężyła „Dziękczynka z zapakami”. Na pięć minut przed zamknięciem plebiscytu nadeszła — lawina kuponów, których nadawcy głosowali na „Prometeusza” (w sumie 3602 osoby). Spektakl wysunął się na pierwszą pozycję i bez większych trudności zdobył tytuł spektaklu roku, wyprzedzając swego głównego rywala — „Chorego z urojenia” — ponad tysiąc głosów. Popularność „Dziękczynki z zapakami” zatrzymała się na poziomie 885 głosów (trzecie miejsce).

W tegorocznym plebiscyście na swoje ulubione spektakle głosowało łącznie 10.466 widzów. Został pobity nawet ubiegłoroczny rekord, który wynosił 9.272 głosy.

Organizatorzy konkursu, jak zwykle, przyznali nagrody twórcom zwycięskich spektakli — reżyserowi, sca-

nografowi i autorom muzyki, a także nadawcom tysięcy kuponów. W grupie tej znaleźli się: Adam Budrowicz, Grażyna Dworakowska, Barbara Grabowska, Ewa Gryko, Beata Klemens, Karol Kosko, Krzysztof Parchaniewicz, Artur Półkoński, Sławomir Prokopuk oraz Albert Radulski — wszyscy są mieszkańcami Białegostoku. Nagrody w postaci książek czekają na wymienionych czytelników w Oddziale Wojewódzkiego Towarzystwa Kultury Teatralnej przy ul. Kilińskiego 8.

W grupie teatromanów, którzy trafnie wytypowali najpopularniejszy spektakl 1985 roku znaleźli się:

W Teatrze Dramatycznym: Jolanta Gorlin, Elżbieta Hapunik, Celina Kopeć, Andrzej Prymak, Grzegorz Kossakowski i Marek Swirydowicz (dwaj uczniowie Liceum Sztuk Plastycznych w Supraślu), Zofia Łukaszewicz, Bogusława Malinowska (Bielś Podlaski), Dariusz Ostrojański (Bielś Podlaski) i Mariusz Siedlecki.

W Teatrze Lalek: Karolina Damulewicz, Martyna i Konrad Dworakowscy, Władysław Kolda, Zbigniew Łachowicz, Irena Litwinowicz, Bożena Szynusik, Joanna Wołoska i Elżbieta Wydzierzecka oraz Magdalena Zawadzka.

Zgodnie ze zwyczajem, OW TKT przyznał również wyróżnienia w postaci małej formy teatralnej tym placówkom, które nadesłały największą ilość kuponów. Otrzymały je dwie białostockie szkoły: Zespół Szkół Mechanicznych (1151 głosów) i Szkoła Podstawowa nr 19 (831 głosów).

Tegoroczny konkurs w ogóle obfitował w zaskakujące wydarzenia. Jeden z czytelników nadesłał na przykład aż 312 kuponów (!) na „Matkę” Witkacego, sztukę wystawioną na scenie Teatru Dramatycznego. Redakcja naszej gazety powinna chyba unfun-

dować nadawcy przesyłki specjalną nagrodą na emocjonalny stosunek do konkursu i dziennika (myślimy intensywnie, co by to mogło być).

A teraz jeszcze słów kilka o najpopularniejszych spektaklach roku.

„Prometeusz” Jerzego Andrzejewskiego był pierwszą premierą Teatru Dramatycznego pod nową dyrekcją i zarazem debiutem autorskim (reżyseria i adaptacja) na białostockiej scenie, Jacka Andrzejewskiego. Scenografię widowiska przygotował Marian Fiszer, muzykę napisał dwójka autorów — Jacek Kaczmarski i Jerzy Nowicki.

Tytułową rolę kreował Rafał Zabiński, matkę głównego bohatera (Temidę) zagrała gościnnie Halina Winiarska.

Baśń „O Zwyrtale muzykancie” wybrała przez bywalców Teatru Lalek została napisana przez Jana Wilkowskiego na kanwie utworów Kazimierza Przerwy-Tetmajera. Spektakl wyreżyserowała nestorka sceny lalkowej Joanna Piekarska, scenografię opracował Ryszard Kuzyszyn, muzykę skomponował Sławomir Czarniecki. Główne postaci animowali: Piotr Damulewicz (Zwyrtala), Małgorzata Płofska (Anioł Stróż) i Marek Kotkowski (św. Piotr i jednocześnie Diabeł II).

Twórców wybranych przez publiczność spektakli gratulujemy zwycięstwa, natomiast widzom — uczestnikom plebiscytu życzymy nowych interesujących przeżyć teatralnych. Zapraszamy jednocześnie na uroczyste ogłoszenie wyników, wręczenie nagród i spotkanie z realizatorami Spektaklu Roku, które nastąpi 23 marca (w niedzielę) — w Białostockim Teatrze Lalek o godz. 11 na przedstawieniu „Kopciuszek” w reż. Krzysztofa Raua i w Teatrze Dramatycznym o godz. 16 na spektaklu „Prometeusz” w reż. Jacka Andrzejewskiego. Do zobaczenia w roku przyszłym. (olp)

Minister J. Michałowska-Gumowska:

„Szkoła nie potrzebuje radykalnych reform”

podręczników, a z drugiej — ograniczyć ich nakład.

Zabraknie natomiast podręczników dla pierwszych klas szkół ponadpodstawowych. Nie zostały po prostu napisane. Zamiast nich nowy program realizować się będzie w oparciu o stare podręczniki uzupełnione — w przypadku języka polskiego, historii i geografii — o wydane metodą offsetową, suplementy.

Brak podręczników, a także ich niedostępnność, skłaniają do

powrotu do tradycji,

czyli zachęcania do ich pisania samych nauczycieli. Informacje o tym powinny w najbliższym czasie dotrzeć do zainteresowanych. Resort oczekuje na konspekty podręczników, zapewniając autorom najlepszych płatne urlopy i współpracę z naukowcami.

W 1990 roku do szkół uczęszczało na około 830 tys. uczniów, więcej niż obecnie, co

Tymczasem zgodnie z Kartą Nauczyciela — w szkołach powinna pracować tylko kadra z wyższym wykształceniem.

W tej sytuacji — odrzucając powrót do liceów pedagogicznych — dążyć się będzie do umocnienia studiów nauczycielskich oraz umożliwienia ich absolwentom ukończenia studiów systemem zaocznym.

Zaspokojeniu potrzeb kadrowych nie służy jednak, dość powszechny pogląd, że w szkole nie opłaca się pracować oraz — idące z nim w parze — szerzenie się „bylejakości”. Zjawiska te związane są z brakiem właściwych ocen pracy nauczycieli i zanikiem motywacji. Lektura kart ocen pracy nauczyciela wskazuje, że wszyscy są dobrzy. Nie ma w nich — zgodnego z rzeczywistym zaangażowaniem w nauczanie i wychowanie młodzieży, jakości pracy — zróżnicowania ocen. Zdaniem ministra Oświaty istnieje koniecz-

ność wprowadzenia motywacyjnego systemu pracy: „by każdym nauczycielem opłacało się być dobrym”.

Wypracowanie i wdrożenie motywacyjnego systemu plac wymaga jednak dodatkowych funduszy, a tymczasem finansowa „koldra” oświaty jest za krótka o kilka miliardów złotych. A jest to wynik nie tylko zbyt małej efektywności całej naszej gospodarki, ale także — co udowodniła kontrola resortu i NIK — lekkomyślnego gospodarowania finansowego samych szkół. „Kaźda złotówka — stwierdziła J. Michałowska-Gumowska — stawała się wydatkiem, bez którego rząd ogłasza „zan”. Oczywiście, nie oznacza to odgórnych ograniczeń działalności placówek oświatowych, ale

baczne kontrolowanie

celowości szkolnych wydatków.

Zmodyfikowania wymaga także system zarządzania oświatą, gdyż obecny spowodował, że „z pola widzenia inspektorów i kuratorów oświaty znikł nadzór pedagogiczny”. Przy równoczesnym słabym wykorzystaniu metodycznej funkcji oddziałów doskonalenia nauczycieli szkoły pozostały osamotnione w rozwiązywaniu swych problemów dydaktyczno-wychowawczych. Całościowo zagadnieniem tym zajmie się resortowy zespół i trudno dziś mówić o kierunkach zmian systemu zarządzania, ale jednym z rozważanych jest tworzenie rejonowych zespołów nadzoru (pomocy?) pedagogicznego.

Na koniec uwaga w sprawie ciągłego powracających w gronie nauczycielskim obaw, w związku z rzekomą nowelizacją Karty Nauczyciela. Ustawa ta — stwierdziła minister Michałowska-Gumowska, powołując się na postanowienia XXIV Plenum KC — pozostanie podstawowym dokumentem oświaty. Jego sformułowania mają charakter uniwersalny i otwarty. Natomiast weryfikacją mogą i powinny podlegać zarządzenia wykonawcze do Karty Nauczyciela, np. Regulamin Rady Pedagogicznej.

To tylko kilka z omawianych przez minister Oświaty i Wychowania kierunków działań resortu, które powstawać mają w ścisłej współpracy z nauczycielami. (jbt)

Nie można pominąć Podlasia

Chyba dalszy ze sta. I

— Jak jest obecnie stan badań nad dziejami Podlasia?

— Dla dzieł tego obszaru do połowy XIX w. mamy w gruncie rzeczy jedynie parę luźnych wzmianek pisanych. Wiele rzeczy czeka wciąż na odkrycie.

W ciągu minionego 25-lecia zrobiono niezbyt wiele, nie licząc ciekawych wykopisk w Świecku (grodzisko mazowieckim), prowadzonych przez panią Danutę Jaszkowską oraz tzw. badań ratowniczych. Do dziś nie mamy młarodajnej mapy lokalizacji grodzisk, pochodzących z socjotematycznych badań, które w przybliżeniu chociażby ustaliły ich chronologię.

— Czy Pracownia jest w stanie wypełnić tę lukę?

— Nie, w żadnym stopniu, ponieważ nie zatrudniamy archeologów i specjalistów do rozpraszania wó i tak bardzo szupielnych. Zasadniczo fizyczne naszych archeologów są bardzo ograniczone.

— Ale współpraca, myślenie, jest możliwa i wskazana.

— Oczywiście. Współpraca taka uwzględniamy, widząc ją np. jako przygotowanie wstępnej dokumentacji historycznej do badań archeologicznych, interpretację historyczną. Nawiazaliśmy już porozumienie z mgr Krystyną Bieńkowską, kustoszem działu archeologii w Muzeum, która jest jednocześnie wojewódzkim konserwatorem zabytków architektonicznych. Bezpośrednio z archeologami współpracują mgr Jerzy Zieleniewski i dr Józef Marosek (formalnie z Pracownią nie związani).

— Jaki okres w dziejach naszego regionu znajduje się w centrum zainteresowania Pracowni?

— Jeśli Pracownia ma działać z pozytywnym dla całego środowiska historycznego — jak tego pragniemy — to najbardziej wskazana jest koncentracja uwagi na czasach przedrozbiorowych. Przynajmniej w początkowym etapie jej działalności. Podlasie bowiem w tym okresie odgrywało dużą rolę, zarówno w dziejach Wielkiego Księstwa Litewskiego, jak i Polski. Różne znaczenie miały anieli później. Było ono jakby przejściowym, terytorialnym łącznikiem, do którego kulturalne oraz oddziaływanie ustrojowe Mazowsza i zachodniej części Litwy.

— Mówicie o historii Podlasia nie sposób pominąć Białegostoku. Jak daleko sięga jego korzenie? Słownik historii Polski wskazuje rok 1320 jako moment założenia osady przez Giedyminę na pograniczu białorusko-litewsko-polskim.

— Nie, nie. To jest tylko piękna legenda. Historia Białegostoku jako miasta, czy ścisłej biorąc miasteczka, datować można na drugą połowę XVII w.

— Dopiero?

— Mam na myśli miasteczko. Natomiast dobra białostockie — Raczkiewiczów, później Wesołowskich uformowały się w XV w. Tak, że na przełomie XV—XVI w. odgrywały już swoją rolę. I oczywiście historia Białegostoku jako pewnego kompleksu terytorialnego jest znacznie starsza, może nawet ciekawsza niż początki tego miasteczka. Czasy świetności przypadają na drugą połowę XVIII stulecia kiedy miasto było siedzibą rezydencji hetmana Branickiego. Ale to już sprawy powszechnie znane.

— A co z Giedyminem?

— Był, ale nie w Białymstoku. Nie możemy gwarantować, że wtedy nie przeleżał, lecz nie ma też żadnego potwierdzenia źródłowego jego tu obecności.

— Czy mógłby pan powiedzieć parę słów o strukturze Pracowni, jej zasadach działania?

— Założeniem funkcjonowania Pracowni jest współpraca w badaniach nad dziejami regionu z innymi środowiskami czy przedstawicielami różnych dyscyplin humanistycznych, a także z osobami spoza Instytutu czy Filii. Znalazło to wyraz w programie i składzie zespołu referentów przygotowujących prace Pracowni w październiku ubiegłego roku konferencji naukowej, mającej wskazać niektóre ważne problemy i możliwości badań regionalnych.

— Jeśli zaś chodzi o zasady działania, to prawdę mówiąc, one dopiero się tworzą, po-

noważ to, czym Pracownia się zajmowała, należało od tej chwili osobowo. Miałam do swojej dyspozycji trzy i pół etatu. Zaczęła od tej połowy, którą do niedawna wypełniał dr Bronisław Makowski z Instytutu Krajów Socjalistycznych PAN, prowadzący badania nad ludnością litewską dawnego guberni suwalskiej. Liczymy na dalszą z nim współpracę. Dalsze osoby: dr Jerzy Urwanowicz (uczeń prof. Jarosława Maciszewskiego), specjalizujący się w ramach Pracowni w badaniach nad przeszłością polityczną Podlasia, dziejami szlachty, sejmików od XVI do XVIII w., następnie dr Ali Miskiewicz, który dał się poznać szerszym kręgom czytelników jako autor ciekawego cyklu na łamach „Kurieru Podlaskiego” o polskich Tatarach i tę tematykę uprawia bardzo owocnie. No i wreszcie nasz wychowanek mgr Jerzy Zieleniewski, którego domena jest historia osadnictwa, układów przestrzennych, zarówno miejskich, jak i wiejskich.

W najbliższym czasie planujemy powiększenie naszego grona oraz pewną modyfikację programu. Chcemy, by Pracownia służyła pomocą wszystkim prowadzącym badania w rozwiązywaniu spornych czy specjalistycznych kwestii.

— A zatem funkcja również nastawiona.

— Bardzo istotna, uważam. Pracownia bowiem powinna stworzyć coś w rodzaju zaplecza, będącego zapleczem dla badań terenowych dla historyków, etnografów, folklorystów. Niezależnie od tego każdy z członków Pracowni uprawiać będzie swoją „działkę”, zgodnie z własnymi zainteresowaniami. Chodzi nam też o to, aby uczestnicy zespołu mogli się wzajemnie wspierać, zwłaszcza w poszukiwaniu archiwaliów, zaś efekty całokształtu służyć jak najszerszemu gronu odbiorczych naukowców.

Badania historyczne nad przeszłością tego terenu są utrudnione, ponieważ podstawowy materiał źródłowy dla czasów sprzed końca XVIII a nawet z XIX w. znajduje się poza granicami kraju — w archiwach i bibliotekach Grodna, Wilna, Leningradu, Moskwy. Część dokumentów drukowanych stopniowo gromadzimy w bibliotece wydawniczej. Staramy się o dalsze ich pozyskanie.

Ważną rolę odgrywa zwłaszcza badania terenowe tradycji lokalnej, nazw miejscowych (tzw. toponimów), słowem tego wszystkiego, co wskazuje procesów cywilizacyjnych zanika w coraz szybszym tempie.

— Historię mała się więc spisywać.

— W przypadku badań terenowych spisywać się musi także archeolog. Przykładowo Grodek nad Suprasz — dawna siedziba majątkowa Chodkiewiczów z XV-wiecznym grodziskiem, gdzie w tej chwili nie da się już nic zbadać, bo całość została zniwelowana, przekopana, zabudowana szaniami, targowiskiem. Na obiekcie architektonicznym podlegającym ochronie! Albo zagrożeń grodziska w Łososnej. Takich przypadków jest dużo.

Podobnie z badaniami i zakresu onomastyki, czyli nazewnictwa. Tu pospiech jest także wskazany. Posługuje się znowu przykładem. W 1980 r. pani Nina Czerwinski (nauczycielka ze wsi Szynki w gminie Michałowo) napisała doskonałą pracę magisterską nt. osadnictwa starostwa jawoskiego w świetle toponimów. Cenna rzecz. Dziś nie byłaby prawdopodobnie już w stanie tego dokonać. Część informatorów w miasteczku zmarła, młodzi zaś nie mają już sprężu komasacji ani lokalnej tradycji.

— Przed Pracownią ogrom zadań.

— Bez wątpienia. Nawet gdyby obsada personalna wzrosła dwu- trzykrotnie, mamy co robić na długie lata. Planujemy przygotować stopniowo krytyczne publikacje źródła do dzieł tego obszaru od czasów najdawniejszych po koniec XVIII w., w przyszłości natomiast — wybór tekstów źródłowych do nauki historii dla nauczycieli i uczniów szkół średnich.

Stopień znajomości historii lokalnej, zwłaszcza dawniejszej wśród mieszkańców naszego regionu jest wciąż niezbyt wysoki. A przecież znajomość przeszłości pozwala nam głębiej kształtować teraźniejszość i przyszłość.

— Dziękuję za rozmowę.

ALICJA ZIELIŃSKA

Zdjęcia. Na nim grupa ni to cywiliów, ni to żołnierzy, maszeruje pustym placem. Pierwszoplanowa deflacja czterdziestego siódmego roku. Na drugim widać rozbitą pounrowski autobus i kilku młodych mężczyzn z karabinami w ręku i opaskami na ramionach. Ten autobus — palec Jerzego Brzozowskiego sztuka w wyblakłej fotografii — ściągaliśmy spod Małego Płocka, gdzie został ostrzelany przez bandę, a tu — wskazuje na przętkę plamę chłopaka w polowym mundurze — to ja. Miałem wtedy niespełna siedemnaście lat.

Przez łupę rozpoznaje można na zdjęciach zamazane nieco twarze ludzi z pierwszej w Łomży kompanii ORMO. Zostało z nich tylko trzech — Ignacy Mieczkowski, Jerzy Brzozowski i Tadeusz Zaczek, szwary — Leon Buzowski zmarł w ubiegłym roku. Kilkunastu wychowało, inni pomarli. Czas jest nieubłagany. Dla dzieł ludzi z fotografii to już historia — znana i opowiadana przy rodzinnym stole, dla wnuków — pomawiana z kart podręcznika. Taka sama jak dzieł pierwszych Piastów. W podręcznikach nikt o losie Brzozowskich czy Mieczkowskich nie napisał. W jakiejś szufladzie pozostawały wyblakłe bezimiennie zdjęcia.

ŚWIADECTWO RODOWODU.

Ojciec Ignacego Mieczkowskiego, jako trzynastoletni chłopak, poszedł na carską kartę za roznoszenia proletariackich ulotek. Do Warszawy już nie wrócił. Osiadł w Łomży, gdzie jeszcze przed wojną wstąpił do partii. Od najmłodszych lat przytuchający się rozmowom ojca i jego współtowarzyszy Ignacy nie pozostał bierny. W rok po wojnie wstąpił do Związku Walki Młodych, a następnie do tworzącej się Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej. Podobnie jak ojciec.

Dla Jerzego Brzozowskiego przykładem był nie tylko ojciec i dziad, obaj murarze, o-ba uczestnicy przedwojennych strajków i demonstracji robotniczych, ale i starsza siostra — Janina, działaczka ZWM i pracownica Komitetu Powiatowego PPR.

— Żeby wstąpić do ORMO musiałem sobie „dodać” dwa lata, ale wtedy przyznano nam to ocy. Rodzice kreślił głowami: co ty smarkaczu rozumiesz. Ale wstąpić mi nie kazali. Lepiej ode mnie adwali sobie sprawę, że zmiana ustroju dawała szansę, na to by tacy jak my przestali być poniewierani, by mieli jakiś głos. Ale by to szansę wykorzystać, nie można było być biernym.

Białe-czerwona opaska i karabin dawały kilkunastoletniemu chłopcom poczucie własnej wartości. Świadek pamięru o przynależności do ORMO greśli kula w łeb, ale młodzież dodawała optymizmu. Nikt zresztą z nich nie szł, chociaż Brzozowski na rozpięciu plakatu „3 razy tak” („a będziecie leżał na wznak” — dopływała tajemnicza ręką) został dostrzeżony pobity.

Po kilkunastu latach powojennej przeszłości z ZWM-owskiej akcji agitacyjnych wspomina się z lekkim rozczuleniem. Ale wtedy, mimo chętności, nikt nie czuł się

kończył w Suwałkach kurs dowódców kompanii Powiatowej Organizacji „Służba Polsce”, a potem przez sześć miesięcy odgrywał w Warszawie. „Gdzieś szło mi zdjęcie jak z Bierutem na Marszałkowskiej machałem lopatą”. Potem było wojsko i skierowanie na kierownika rezerwy wojskowego w radzie narodowej w Łomży. Ożenił się, przychodził na świat dzieci — ma ich siedmiu — i zaczęło się własne życie z końcem. Przez trzy lata do 1984 r. był instruktorem artystycznym Powiatowego Domu Kultury. Czas wyparowywał między innymi zespół muzyczny, teatralnego, chóru, orkiestry dętej, wyrażałem i występami. Na dom brakowało pieniędzy też. Zmieniłem więc pracę. Budował szosę Piatnica — Włzka jako operator ciężkiego sprzętu, był brygadziestą montażu maszyn powstających zakładów bańkowych w Łomży, w których następnie pracował jako drukarz i brygadziestą na wydziele wykończalni. Ma na swym koncie kilka wniosków racjonalizatorskich. W 1984 r. z ciężkimi schorzeniami kręgosłupa odszedł na rentę.

Było, minęło, ale

CO Z TEGO MASZ

— pytała się dziś dzieci. Wspomnienia i stracona młodość? I tak i nie — odpowiada.

Ignacy Mieczkowski ma na przykład pamięć na całe życie — katar i wrzody to jednak. W ostatnim lat po wojnie wstąpił jak odwiecznik — 35 kg i cudem wywiał się śmiercią. Zdał broń. Został mu legitymacja i borykaniem się z codziennymi kłopotami. Pracował jako malarz, murarz, a gdy choroba dawała się bardziej we znaki — jako dozorca. W 1980 roku, żeby podnieść słabą emeryturę, poszedł pracować do odlewni feliz. Był adasierem. Teraz, już na emeryturze, jest komendantem zakładowej placówki ORMO.

— Czytając w prasie, słysząc w telewizji o przegranych pokoleniu. Przegrani! Tak można by powiedzieć raczej o nas, tylko że my, mimo wszystko, tego poczucia nie mamy. Młodość dlatego, że niezmierzony

prawdziwej biedy, że przeszliśmy ciężką szkołę życia. Gdyby ci młodzi zaczęli od naszych czasów i naszych problemów...

Mimo to gdzieś w podświadomości tkwią drżące krzywdy, niespełnienia, niedocenienia. Wówczas przyszłość rysowała im się niewyraźnie, ale kolorowo. No bo jakie, skoro robotnik z chłopem widać przejeżdżał. Będzie bardzo dobrze: było — normalnie.

Brzozowski kierował najpierw „Świadomy, przymus” Skierowany przez ZWM u-

DWAJ Z FOTOGRAFII

mina agitacyjny występ kabaretu ZWM w Olszynie. W pewnym momencie zauważyli, że oklaskują ich uzbrojeni...

Było, minęło, ale

CO Z TEGO MASZ

— pytała się dziś dzieci. Wspomnienia i stracona młodość? I tak i nie — odpowiada.

Ignacy Mieczkowski ma na przykład pamięć na całe życie — katar i wrzody to jednak. W ostatnim lat po wojnie wstąpił jak odwiecznik — 35 kg i cudem wywiał się śmiercią. Zdał broń. Został mu legitymacja i borykaniem się z codziennymi kłopotami. Pracował jako malarz, murarz, a gdy choroba dawała się bardziej we znaki — jako dozorca. W 1980 roku, żeby podnieść słabą emeryturę, poszedł pracować do odlewni feliz. Był adasierem. Teraz, już na emeryturze, jest komendantem zakładowej placówki ORMO.

— Czytając w prasie, słysząc w telewizji o przegranych pokoleniu. Przegrani! Tak można by powiedzieć raczej o nas, tylko że my, mimo wszystko, tego poczucia nie mamy. Młodość dlatego, że niezmierzony

kończył w Suwałkach kurs dowódców kompanii Powiatowej Organizacji „Służba Polsce”, a potem przez sześć miesięcy odgrywał w Warszawie. „Gdzieś szło mi zdjęcie jak z Bierutem na Marszałkowskiej machałem lopatą”. Potem było wojsko i skierowanie na kierownika rezerwy wojskowego w radzie narodowej w Łomży. Ożenił się, przychodził na świat dzieci — ma ich siedmiu — i zaczęło się własne życie z końcem. Przez trzy lata do 1984 r. był instruktorem artystycznym Powiatowego Domu Kultury. Czas wyparowywał między innymi zespół muzyczny, teatralnego, chóru, orkiestry dętej, wyrażałem i występami. Na dom brakowało pieniędzy też. Zmieniłem więc pracę. Budował szosę Piatnica — Włzka jako operator ciężkiego sprzętu, był brygadziestą montażu maszyn powstających zakładów bańkowych w Łomży, w których następnie pracował jako drukarz i brygadziestą na wydziele wykończalni. Ma na swym koncie kilka wniosków racjonalizatorskich. W 1984 r. z ciężkimi schorzeniami kręgosłupa odszedł na rentę.

Było, minęło, ale

CO Z TEGO MASZ

— pytała się dziś dzieci. Wspomnienia i stracona młodość? I tak i nie — odpowiada.

Ignacy Mieczkowski ma na przykład pamięć na całe życie — katar i wrzody to jednak. W ostatnim lat po wojnie wstąpił jak odwiecznik — 35 kg i cudem wywiał się śmiercią. Zdał broń. Został mu legitymacja i borykaniem się z codziennymi kłopotami. Pracował jako malarz, murarz, a gdy choroba dawała się bardziej we znaki — jako dozorca. W 1980 roku, żeby podnieść słabą emeryturę, poszedł pracować do odlewni feliz. Był adasierem. Teraz, już na emeryturze, jest komendantem zakładowej placówki ORMO.

— Czytając w prasie, słysząc w telewizji o przegranych pokoleniu. Przegrani! Tak można by powiedzieć raczej o nas, tylko że my, mimo wszystko, tego poczucia nie mamy. Młodość dlatego, że niezmierzony

tych, którym na naukę nie starczyło czasu. Wypierali go młodzi i wykształceni. Dlatego też wpał w dzieci potrzebę nauki. I dawał przykład. W 1975 r. mając czterdzieści cztery lata, zdał w liceum dla pracujących maturę.

— Dziś — mówi Mieczkowski — każdy chce tylko brać. Może dlatego, że w nas tkwiła zakorzeniona

POTRZEBA DAWANIA.

W tamtych latach nauczyliśmy się patrzeć szerzej. I chociaż próbowałem przekazać to dzieciom, to jednak nie udało się. Usiadłem w rodzinny gronie i słyszę z każdym razem: no i co ty wywalczyłeś? Trudno czasem odpowiedzieć. Więc mówię, że ludzie są tylko ludźmi, że nikt świadomie nie gnał nas i kraju w reglamentację i kryzys. Teraz, jak widzę, zmierzamy od nowa do tego co walczyliśmy. Żeby tylko ten kierunek działań okazał się stabilny. Nam przez myśl nie przechodziło, by kogoś zmuszać, by pytać: co z tego będzie miał? Wystarczył zapal. Dziś każdy chce wiedzieć co zyska.

— No a co my mamy z tego, że tyle lat działamy w ORMO — dodaje Brzozowski. Nie. Przecież nie po to wzięliśmy legitymację. Tak samo jak partynę. Może to brzmi banalnie, ale wiążę nas idea. A to, że nie „dochrapialiśmy” się stanowisk czy rzadku medali jest najlepszym dowodem, że nie dla siebie. Przykro tylko jak zwrócić komuś uwagę i słyszeć: odpuść się, omerowu. Uwłaszcza nie uwłacza, ale boli.

— No a co my mamy z tego, że tyle lat działamy w ORMO — dodaje Brzozowski. Nie. Przecież nie po to wzięliśmy legitymację. Tak samo jak partynę. Może to brzmi banalnie, ale wiążę nas idea. A to, że nie „dochrapialiśmy” się stanowisk czy rzadku medali jest najlepszym dowodem, że nie dla siebie. Przykro tylko jak zwrócić komuś uwagę i słyszeć: odpuść się, omerowu. Uwłaszcza nie uwłacza, ale boli.

JERZY BRODZIUK

Kłopoty z zębem

Zwierzyca leśna w ciemnym dniu niekiedy bardzo często uszczuplała zapasy karmy przygotowanej przez rolników dla zwierząt domowych. Oczywiście gospodarze pilnie, żądając wypłacenia odszkodowania i zawyżając je otrzymaniu. Nie zawsze obywało się to bez drobnych komplikacji. Np. nasz Czytelnik, Wiktor Karpiuk z Kapitana, który dwa dni pod rząd przysłał do Redakcji skargi, że mu żubry zjadły siano, a ich właściciel jakoby nie sobie z tego nie robi. Tej skargi nas nie mącił — może już nasze „święte krowy” dały mu spokój?

— Ale nie tylko pan Karpiuk ma problemy z żubrami. Miewał też je ojciec, dziadko, pradziadkowie. Ono np. nie jak Prokop Rychlicki, chłop mieszkający obok Puszczy

Białowieskiej, w 1904 r. wystąpił do sądu grodzkiego z pozwem przeciwko Zarządowi Puszczy. Sąd rozstrzygnął Rychlickiego uznał, ale — niestety — innego zdania była wileńska izba sądowa oraz cywilny departament kasacyjny rządzącego senatu. Ostatecznie pan Prokop sprawę przegrał, a przy okazji stracił sporo pieniędzy i nerwów.

Nas powinno zainteresować bardzo ciekawe uzasadnienie decyzji o nieuznaniu roszczeń. Departament kasacyjny stwierdził wprost, iż Zarząd Puszczy nie został powołany do ochrony gospodarstwa Rychlickiego, w związku z czym nie może ponosić jakiegokolwiek odpowiedzialności za jego stan. Co zaś do roszczeń żubrowi żyjących w Puszczy Białowieskiej, to nie stanowi one w ogóle własności Zarządu. Są dobrem

ogólnopństwowym. W myśl przepisów ogólnego prawa cywilnego, prawo własności do nich ma posiadacz gruntu, na którym one aktualnie przebywają. Jeżeli żubry zjadły p. Rychlickiemu jego własne siano, to nie można mówić o jakiegokolwiek stracie, bo to były w tym czasie „jego” żubry. Straciłby mógłby powstać tylko wtedy, gdyby siano zjadła jakaś inna zwierzęca (domowa lub dzika) stanowiąca stałą własność konkretnej osoby.

Czy oznacza to, że Rychlicki mógł z żubrami (jako „swoimi”) zrobić co tylko chciał? Ależ skąd! Mógł co najwyżej odpowiedzieć je od stógów, czy w ogóle ze swego gospodarstwa (a nie jest to takie łatwe). Gdyby zechciał zabić jakąś sztukę, byłoby to już przestępstwo.

Dziś jest znacznie lepiej. Pamiętajmy, że żubry nadal siano podkładały (przecież nie uważa się ich na szkodników drzew), do sądu po odszkodowanie nikt jeździć nie musiał.

PIOTR BAJKO

DYKTERYJKI Z LAMUSA

— Wiesz Morys, to całe życie wyda-
je mi się jak długi, żelazny most...
— Dlaczego?
— Albo ja wiem?

Himmelfarb modli się w bożnicy. Ki-
wa się, gestykuluje coraz gwałtowniej
a wreszcie w uniesieniu religijnym za-
czyna krzyczeć i walić ręką w pulpit.
Sąsiad uspokaja go:
— Nie wrzeszcz tak na Pana Boga!
Uwierz mi, że łagodnością więcej zro-
bisz niż gwałtem!

— Tate ja się żenię.
— Co jest?
— Zakochałem się.
— Węgrzyn jesteś, żeby się kochać?

Nie rozumiesz.
— Zakochałem się i choć się ożenić.

— Co ci z tego przyjdzie?
— Tate, ja będę szczęśliwy!
— A jak już będziesz szczęśliwy, to
co będziesz miał z tego?

— Oj czasy, czasy! Nie ma tygod-
nia, żeby do interesu tysięcy złotych nie
dotożył!
— Dlaczego więc nie zamkniesz skle-
pu?

— A z czego wtedy będę żył?

— Człowieku, co ty wyrabiasz? Dia-
czego latasz nago po mieście?
— Bo wiem, że nikt dziś do mnie nie
przyjdzie.

— A po co nosisz cylinder na głowie?

— A nuż jednak ktoś upadnie?

Zebrał: E.H.

dziwi, że te brzmienie obco-
miona tak utkwiły jej w pa-
męci, choć minęły od tamte-
go czasu 43 lata. Była ich stu-
żącą i nianką, spała tylko parę
godzin, bo trzeba było i
gotować i sprzątać, i prać.
Na obiad wiodło kartofli szor-
owała szczerzą i plukała
w pięciu wodach, na kolację

no upokorzeń, wyzisk i
bicia nawet. Zimą 1944 roku,
gdy front się zbliżał, Niemka
zebrała swoje dzieci i wyje-
chała pod Gdynię do Babich
Dółów, czy coś takiego, gdzie
na lotnisku pracował jej mąż.
Polaków zapędzono do kopania
rowów. Wyzwolenie za-
stało Irenę aż w Toruniu. Za-

data wywiezienia na robo-
ty do Prus, została w pamięci
choćby na zawsze. Było to
i maja 1943 roku, kiedy skoń-
czyła siedem lat. Miejs-
cem ostatecznym tej podró-
ży w byłych wagonach
był Koenigsberg. Młodzi Po-
lacy trafiali do fabryk, do
pracy u baura czyli na roli,
na służbę. Ustawieni dwójka-
mi na placu w mieście byli
wybierani jak na targu nie-
wolników. Irenę od razu wy-
brała gruba Niemka i wywo-
ziła do swego dużego domu,
w którym mieszkała z rodziną
to znaczy mężem i ośmiorgiem
dzieci.

Teraz, kiedy rozmawiamy o
tych dawnych czasach, pani
Irena wymienia imiona tych
wszystkich dzieci. I nawet się

cie najmilszego i na kogo tak
długo czekała.

— Ale matka ani nie słucha-
ła i nie zgadywała. Długo
stały we dwie przytulone do
siebie, aż wrócił brat z ogra-
dów i zlecieli się sasiadzi. Po-
dli i zlecieli się sasiadzi. Po-
wiadomiony o powrocie ojciec,
nie mógł porzucić służby, bo
pracował na kolei i witał swo-

— Ale matka ani nie słucha-
ła i nie zgadywała. Długo
stały we dwie przytulone do
siebie, aż wrócił brat z ogra-
dów i zlecieli się sasiadzi. Po-
dli i zlecieli się sasiadzi. Po-
wiadomiony o powrocie ojciec,
nie mógł porzucić służby, bo
pracował na kolei i witał swo-

— Ale matka ani nie słucha-
ła i nie zgadywała. Długo
stały we dwie przytulone do
siebie, aż wrócił brat z ogra-
dów i zlecieli się sasiadzi. Po-
dli i zlecieli się sasiadzi. Po-
wiadomiony o powrocie ojciec,
nie mógł porzucić służby, bo
pracował na kolei i witał swo-

RZECZ O ATMOSFERZE

Przed kilkoma laty, pamiętam, pisałam o tym, że w środowisku kultury, zwłaszcza tej profesjonalnej, coraz trudniej o jakiegokolwiek działania integrujące. Plastyki nie mają ochoty chodzić do teatru, aktorzy do filharmonii, muzycy do galerii, a dziennikarze na... wernisáže. Słowem: każdy sobie... itd.

Do dziś właściwie nie ma tej atmosfery, tak charakterystycznej zwłaszcza dla lat sześćdziesiątych, gdy tworzeniem pewnych zjawisk zajmowało się wspólnie. Łączyła się w zespoły mająca jednolitą orientację ideową, artystyczną czy po prostu towarzyską. Później zapomniano (?) o urlokach życia cygańskiego-artystycznego. Bohemy przestały istnieć, a każdy z artystów zamknął się w czterech ścianach swojej pracowni, lepszej czy gorszej zresztą.

Piszę o tym nie bez powodu. Cały ten wstęp potrzebny był mi po to, by udowodnić trochę moją na przekór sobie, a trochę przeciw słusznemu, że integracja w kulturze istnieje i że możliwe jest zespolenie wysiłków jakiegoś zespołu osób w celu, o którym się chwili.

Przez dwa dni, w ubiegłą sobotę i niedzielę, przyszedłam się e-eliminacji wojewódzkiego Konkursu Piosenek Radzieckich w Białymstoku.

Przez dwa dni żyłam atmosferą święta będącego udziałem nie tylko uczestników i organizatorów, ale ca-

reprezentujących ośrodki kultury z różnych kręgów województwa białostockiego. Piszę celowo o zdrowej rywalizacji bo konkurs ten, jak i festiwal w Zielonej Górze, bronił się ciągle jeszcze przed merkantylnością i w ogóle zawiłymi show-businessu.

Spotkałam zatem entuzjastów tej imprezy w osobach działaczy TPR, pracowników Wydziału Kultury i Sztuki UW, Wojewódzkiego Domu Kultury, Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej,

imprezy (także partycypującymi w kosztach) było dwadzieścia osiem instytucji i zakładów pracy Białostockiej — obraz będzie prawdopodobnie pełny.

Als na niezwykle sympatyczną atmosferę jubileuszową, bo dwudziestego piątego z kolei Konkursu Piosenek Radzieckich złożyło się przede wszystkim śpiewanie. Podobnie jak ćwierć wieku temu, gdy tu właśnie, na Białostockiej, zrodziła się

skiel, Sołt Rotaru, Kati Surzikowej i wielu innych. Nie inaczej było i tym razem, przy czym — wiadomo — porównanie kolejnego konkursowego uczestnika z prawymosłowiańskim nie zawsze wypada na niekorzyść tego pierwszego. Związane jest to z niełatwym ślepo gwiazd estrady, a stara się zaprezentować ciekawą i do tego własny sposób interpretacji.

Mysle, że takimi kryteriami kierowało się także jury ogłaszając, znane już zresztą państwu, wyniki wojewódzkich eliminacji. Brano zapewne również pod uwagę bezpośrodkowość, świeżość i bezpretensjonalność wykonawców, nie mówiąc już o brzmieniu głosu, artystycznym sile i ogólnej prezentacji.

Wyniki — jak wspominałam — są już znane, laureaci pojadą do Inowrocławia by sprawdzić się przed tamtejszą publicznością w kolejnym etapie przed Zieloną Górą. Przyjdą nowe emocje i nowe wrażenia. Czy przyznają, że które towarzyszyły im zmaganiom w Białymstoku?

Piosenka radziecka — o czym pewnie wszyscy wiedzą — ma niepowtarzalny urok, a śpiewając ją naprawdę dobrze potrafią tylko Stowianie. Dlatego też my, Polacy, nuczmy ją nie tylko z okazji festiwali...

Każdego roku podczas konkursów słyszymy nowe i najnowsze przeboje Aliy Pugaczowej, Zanny Biczew-

LUDMIŁA CHALECKA-POŁOCKA

Piosenka i coś jeszcze

jej publiczności — mieszkańcy Białego Podlaskiego. Nie ma w tym ani krty przesyady.

Spotkałam tu wielu działaczy kultury, wśród nich dobrych, starych znajomych. Przyjechali do Białego Podlaskiego jako współorganizatorzy imprezy, ale także by się po prostu zobaczyć, podyskutować, wymienić poglądy i doświadczenia. Zmagania konkursowe zaś były okazją do zdrowej rywalizacji pomiędzy uczestnikami

Muzeum Okręgowego, Białostockiego Towarzystwa Kultury, działaczy z terenu, muzyków, choreografów, dziennikarzy (a jakie!), a przede wszystkim gospodarzy, czyli zawsze sprzyjającej kulturze władze politycznej i administracyjnej miasta oraz pracowników Białostockiego Domu Kultury (!), który przypadał w udziale zaszczytna rola organizatora imprezy o randze wojewódzkiej. Jeśli do tego dodam jeszcze, że współtwórcami

inicjatywa tych konkursów i stał rozpowszechnia na cały kraj.

Piosenka radziecka — o czym pewnie wszyscy wiedzą — ma niepowtarzalny urok, a śpiewając ją naprawdę dobrze potrafią tylko Stowianie. Dlatego też my, Polacy, nuczmy ją nie tylko z okazji festiwali...

Każdego roku podczas konkursów słyszymy nowe i najnowsze przeboje Aliy Pugaczowej, Zanny Biczew-

FILM

„Nad Niemnem” po raz drugi

Nadniewska legenda o Janie i Cecylii znów będzie nas wstrząsać. Tym razem nie z kart książki, ale z filmu, który ma wejść wkrótce na ekrany. Dla nas film tym bardziej jest interesujący, że wiele scen kręcono we wsi Augustowa, położonej w województwie białostockim.

Od pierwszego wydania powieści „Nad Niemnem” minie w roku przyszłym sto lat. Eliza Orzeszkowa tak pisała w 1886 roku do przyjaciela: „Na wsi już jestem od dwóch miesięcy. Z początku nie robiłam nic prócz oddychania pełną pierśią piękną pogodą letnią i wielką ciszą. Od kilku jednak tygodni zabrałam się do pisania wielkiej, dwutomowej powieści, która będzie miała tytuł „Nad Niemnem” i w której wielkie choć może zwolnicze, pokładam nadzieję... mam przed sobą jeszcze ogrom pracy. W powieści tej porusza się blisko sto osób z klasy obywatelskiej i z arystokratycznej na tle stołecznego środowiska i nadniewskiej natury, która chce w jak najszerszym ramach przedstawić”. Autorka pisała tę piękną powieść w zaskonach Miniewiczów i w pobliskich Bohatyrowiczach. Dwór w Miniewiczach był pierwowzorem Korczyńskiego.

Natrafiam właśnie na krótkie sprawozdanie z podróży nad Niemem, opisanie przez Janę Marcina Szancera z maja 1939 roku. J. M. Szancer wybrał się tam z okazji kręcenia filmu „Nad Niemnem” do którego robił projekty kostiumów dla bohaterów. Scenariusz do filmu opracował Jarosław Iwaszkiewicz, a główne role grali — Elżbieta Barszczewska, Jerzy Pichelski, Mieczysław Cwikliński, Ludwik Sempoliński.

Od czasu tej podróży minęło 47 lat. Zły jestże wówczas Jan Bohatyrowicz, autentyczny postać powieści, żył też potomek panów na Korczyźnie — Strzałkowski, u którego zachowały się stare, oprawne w aksamit albumy, kryjące fotografie bohaterów powieści. Włoc przed wszystkim śliczną przyjaciółką Orzeszkowej, dziadką Miniewicz — Stanisławą Kamińską, która stała się pierwowzorem postaci Justyny z powieści. To ona podbiła Klemensa Strzałkowskiego, szlachcica z zaskonami.

W tamtym czasie można jeszcze było odnaleźć w głębinach Jarze stary krzyż na mogile Jana i Cecylii. Dziś czas zatarł już ślady, choć miejsce to istnieje, i można je poznać po kamienkach wrotych już głęboko w ziemię. Nie zmienił się krajobraz i przyroda, opisane w powieści, wiernie odtworzone w pierw-

szym filmie. Niestety, film spłonął w czasie działań wojennych. Został po nim wspomnienie, parę zdjęć rozsypanych po czasopiśmie, projektów sukni kompozycji J. M. Szancera.

Na nowy film ukazujący dzieje bohaterów „Nad Niemnem” czekamy więc z niecierpliwością.

Tak już jest, że bohaterowie filmowi biorą górę nad książkowymi, których każdy z nas stworzył we własnej wyobraźni. Jak wypadną ci z nowego filmu? Cóż, zobaczmy...

Publikowane dziś zdjęcia są reprodukcjami z fotografii, jakie ukazały się w czasopiśmie z 1939 r. Jest więc Stanisław Kamiński, pierwowzór Justyny, Jan Bohatyrowicz, autentyczna postać z powieści, a także para bohaterów (Elżbieta Barszczewska i Jerzy Pichelski) filmu „Nad Niemnem”, który nie wszedł na ekrany.

ANNA ZAREMBINA
Repr. Z. ZAREMBA



NOTATKI Z WYSTAWY

W Białostockim Biurow Wystaw Artystycznych przy ul. Mickiewicza 2 od feralnej trzynastki w marcu, na krótko, bo tylko do 6 kwietnia — do patrzenia: plótka Józefa Zdziecha.

Artysta urodził się 37 lat temu w Białymstoku, studia odbywał w Warszawie, na Wydziale Marii Skłodowskiej-Curie w Lublinie (wynik? — dyplom z wyróżnieniem w zakresie malarstwa i dydaktyki artystycznej). Kiedy wyjechał się wreszcie spod kontroli profesorów sam zaczął uczyć podległych się pedzłem młodszych od siebie lekcji wychowania plastycznego w jednym z białostockich liceów, zajął się też malarstwem sztalugowym, projektowaniem i wystrojem wnętrz. Jakby na dowód, że to jeszcze nie koniec jego zainteresowań i możliwości zorganizował i poprowadził w latach 1978-1981 Ogólnopolską Galerię Młodych. W 1982 roku został członkiem (tego dawnego) ZPAP, a w trzy lata później uzyskał roczne Stypendium Twórcze Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Jak mu wychodzi urządzenie wnętrza nie wiem i nie umiem odgadnąć, natomiast jak maluje zobaczmy (nie po raz pierwszy zresztą) na wystawie w salach BWA. Zebym poznać się jakoś w tym wszystkim, co mam do obejrzenia dzieło sobie zwykłe malarstwo na trzy kategorie: takie do pogapienia się (z radością dla oka, a czasem i dla innych zmysłów), do wieszania na ścianie (jest w tym coś ze sztuki i urzędowania wnętrza), i wreszcie do wypowiadania się twórcy o sobie i świecie.

Bywa, że artysta machnie sobie pedzłem tak sztuka dla sztuki, forma dla formy i wychodzi z tego rzecz zupełnie świeża, jakby nowy sposób mieszania

i kładzenia farby, który wywraca do góry nogami całą technikę malarską, zmienia spojrzenie na sztukę i posuwa ją o całą miłą do przodu.

Józef Zdziech takim wytwórcą raczej nie jest. Korzysta z tego, co było na krótko przed nim, umiejętnie, ale bez szaleństwa. Ma temperament i oko satyryka, o czym świadcza

Wejść pod koła autobusu

przed wszystkim tytuły jego prac i trochę mniej do co z pomysłów pozostaje na płótnach.

Jak przystało na kogoś, kto (podejrzewam) uczył się patrzenia i „języka” na umiarkowanych, syntetycznych i abstrakcyjnych obrazach, Zdziechowi filozoficzny zgola, to przynajmniej formalny — znaleźć można nawet w haku. Hak jest przedmiotem studium na jednym z jego obrazów.

Zdarzają się Zdziechowi rzeczne piny z zaobserwowanej rzeczywistości, ale i kilka naskórników spostrzeżeń, blasków anegdotek. Jest „Teatr”, który niewiele odsłania, jest „Kuszenie” — zabawne, ale nie więcej, nawet nie kuszące (a może wystarczy, że śmieszne?). „Piotr” prawie identyczny jak „Eksa”, „Eksa” myląc się z „Doręczycielem”, chyba dlatego, że za blisko? „Doręczyciel” prawie nie do odróżnienia z „Centrum”. Aż korci, żeby zredukować

wszystko (zsyntetyzować?) do jednego.

Józef Zdziech w tym pełniejszym woleńiu to „Nagroda pośmiertna”, „Upalowanie”, „Dobrobyt” — bawiący się nie tylko formą, ale i treścią, podrażniający, odsłaniający swoją wrażliwość na barwę, kształt i jeszcze na coś więcej, co znajduje się bliżej spraw człowieka.

Najbardziej przebiegły artysta ujawnia się w cyklu z cesarzem w temacie (za pomysł — bravo). „Tył głowy faraona”, „Samochód faraona”, „Pies faraona”, „Nakrycie głowy faraona” — wszystko na złotym tle, naznaczone charzmatem władzy, jakby stopione w jedno, przesłanki cesarskości. Nawet pies tutaj nie zwykły kundel, ale po prostu brytan, po prostu zwierzę cesarza.

Józef Zdziech zaskakuje zmiennością nastrojów — raz jest agresywny i cięty, to znów liryczny. Wystraszają go kolorystycznie w transformacjach „Pielzka (fabryka truciń)”, „Rym natury”, „Pielzka górski”, „Slumsy” — dużo zieleni w przeróżnych gamach: od nasyconej, trawistej do chłodnej, prawie przezroczystej. Glazdy indziej (np. „Flaga corridy” — nareście prawdziwa dynamika) ożywia się sięgając po agresywne barwy i aktualny „publicystyczny” temat.

Rozbraja pomysły, i tylko szkoda, że na wyobraźnię i emocje ogładającego bardziej działały tytuły niż same obrazy. Być może bierze się to stąd, że Józef Zdziech za bardzo boi się „wyjść z formy” (artystycznie). Zostało jeszcze trochę czasu, każdy może wpaść i przekonać się na własne oczy. Jak jest naprawdę.

Czytelnikowi, który chce wiedzieć, jaki związek z wystawą ma tytuł notatek: „Wejść pod koła autobusu”, wyjaśniam, że jest bez związku i zupełnie nie znaczy — po prostu sztuka dla sztuki.

OLGA PACEWICZ

KORESPONDENCJA WŁASNA

Jest to absolutna prawda. Żaden fart, dowiec czy blaga. W centrum Paryża pieją koguty i to nieomal na zawołanie. Ostatnio także eksplodują bomby — aż cztery, m. in. przy wieży Eiffa, na Champs Elysees, przy Halach. Terrorysty wybrali sobie zupełnie niedopuszczalne, szkodliwe wręcz metody lokowania swych głośnych argumentów w miejscach największego skupiska ludzi.

Ala wracamy od spraw smutnych do kogutów. Otóż na quai de Louvre i quai de la Megisserie — pięknej promenady na lewym i prawym brzegu Sekwany, ulokowały się sklepy z różnego rodzaju ptaćkami. Pożyczając od przeszłych buntantów aż do piejących karmazynów. Proszę sobie wyobrazić, iż całe to towarzystwo znajduje się w centrum, w najpiękniejszych kwartałach Paryża. Ale i tu nie brakuje cwaniaków. Otóż te rasowe kaczki są systematycznie okradane z jedzenia przez dzikie gołębie. Nie wiem, ale w tym szarawym ptaćwie jest coś swojskiego. Gołębi tych nie ma zbyt wiele, nie jest to Plac św. Marka w Wenecji, niemniej trochę się uwija. Obok sklepów zwierzęco-drobowych (wszystko to jest do hodowania, a nie pod nóż), bo są tu i myśliwi, chomiki, szczyry — ulokowały się sklepy ogrodnicze.

I teraz temat dla Pań. Wiadomo, że o każdej dziedzinie w Polsce najbardziej dba kobieta. Metodyczna najwyżej

skopie, podjęcie i potem siedzi z nerwowym obrotem głowy — gdzie tu pokonać piwko! Otóż kochane Panie, zbieżnością Wam oko, czego tu nie ma.

Pieją koguty

Drzewka, naslonka, cebulki i wszystko co tylko Wam by się wyszło. Otwarte nawet w niedzielę, przez okrągły rok.

I ta droga przez zwierzątka i roślinki dochodzimy do oblecanej korespondencji, dla Pań. Otóż moje Drogi! — clou tego wszystkiego, to wcale nie piejące koguty, czy roślinki, ale nowo otwarte Muzeum Mody, w jednym ze skrzydeł Pałacu Louvre. Jakko najnowsze jest oczywiście najdroższe, ale co się nie robi dla pici pięknej. Jest tego aż pięć pięter. Zaczyna się

właśnie od piętego. Niewielka gablotka pokazuje smętne szkatki kostiumów z XVII wieku — bukie, rakawiczka, koronka, ale jakiej! Prawdziwa kolekcja zaczyna się od połowy XVIII wieku. I tu rzeczywiście można obejrzeć historię rozwoju damskiego stroju.

Opisywanie kolekcji z dawnych czasów jest w tej korespondencji chyba niezbyt istotne. Ale. Drogi! Panie, wszystko, co zaczęło się w latach dwudziestych trwa z różnymi modyfikacjami do

dzisiaj. Co do Chanel, M-me Gres i ich twórczość (bo tak należy modę traktować) są dziś nadal aktualne. Proszę mi wierzyć na słowo. Moda lat osiemdziesiątych reprezentowana jest wystawą fotografii Davida Seignera. Przesyłam Paniom reprodukcje z kolekcji Yves St. Laurenta z roku 1983. Bardzo lubię tę firmę zresztą męsko-damską. Wszystkim Paniom, które czują się zawiedzione brakiem konkretnych wskazań co do mody 1986 srobiebie dać receptę. Sukienki — Lanvin, ubrania wizytowe — Yves Saint Lau-

rent, Dior i Lanvin, fryzury — Gerald — makijaż — Jose Lois.

Z KRONIKI PRZEDMIEŚCIA

Początek lat sześćdziesiątych. Sala rozpraw Sądu Rejonowego przy ul. M. Skłodowskiej-Curie. Na „wokandzie” sprawa rzecz by można posłać. Chodziło o to, że w jednym z zakładów penitencjarnych a dokładnie w jego dużej bo 8-osobowej celi odbył się kiedyś „kocowy”, wiezienną tradycją ceremoniał „kocowy”. Ukaraną nią została, jego zdaniem niesłusznie, jeden z więźniów. „Kocowa” odbyła się nocy i była raczej tuwarda. W konsekwencji pobity utracił wzrok w jednym oku.

Po odbyciu kary odosobnienia natychmiast skierował się do prokuratora oskarżając jednego z niedawnych towarzyszy resocjalizacji o pozabawienie go wzroku. Jako świadków podał pozostałych sześciu współwięźniów w przekonaniu, iż chętnie oskarżą będą po to aby z siebie zrzucić podejrzenie.

Cygański wyrok

Srodcie się jednak zawiódł. Cała szóstka zgodnie odpowiadała, że ani oskarżony, ani tym bardziej oni nie brali udziału w zakazanym regulaminem samosądzie. Poszkodowany nie umiał dokładnie powiedzieć ilu go było w nocy i którzy to byli. Zdemoralizowany unosił nawet aby ukarać wszystkich.

Jeśli nawet przyjąć, co jest bardzo prawdopodobne, że „kocowy” dokonano i że w tej efekcie pobity utracił wzrok, to trzeba udowodnić kto był tego sprawcą. Było jedno oko i był jeden cios, za który nie można skazać siedmiu ludzi. Tak więc wobec niemożności udowodnienia oskarżonemu karagodnego czynu, sąd zgodnie z zasadami polskiego prawodawstwa uniewinnił go od zarzutów.

Podczas ogłaszania tego wyroku poszkodowany „nie wytrzymał nerwowo” i wykrzyknął w stronę zespołu orzekającego:

— Ależ to cygański wyrok!

Przewodniczący sądu poszeptał coś z ławnikami i spokojnie acz dobitnie oznajmił, że za obrazę sądu nervous zostaje ukarany 3-dniową odsadką.

Pod orzeczeniem tej nieprzewidywanej uczestnicy kary podpisał się sędzia Sądu Rejonowego w Białymstoku — Henryk Cygan.

★ ★

Ponad sześćdziesiąt lat wcześniej, bo w czerwcu 1901 roku niedaleko Tykocina odbywał się autentyczny sąd cygański. Zanim o tym wydarzeniu opowiem przypominę pierwsze, oczywiście w oparciu o dawne publikacje, czym była cygańska społeczność w tamtych czasach.

Naprawdę trudno o gorącą opinię. Wśród licznych narodowości zamieszkujących kule ziemską lud cygański należał zapewne do najcięższych gromad ludzkich żyjących z cudzej pracy. Żadne zabiegi nie zdołały wykorzystać ich obyczajów koczowniczych, przeciwnie warunkiem życia ułatwiającym kradzieże i żebranie.

Odłogi, nieużytki i pastwiska wschodniej części Europy doskonale nadawały się na rozbiżanie obozowisk dlatego też częściej spotykało się tu gromady cygańskie buszujące po wielkich ogrodach i obejściach. Pojawienie się taboru łączyło najczęściej z tajemniczym zniknięciem kilkunastu kur, koni, nierozgarniętych i wielu cennych przedmiotów. Przy urodzonym sprycie Cyganów prawie nigdy nie udało się odzyskać skradzionych rzeczy. Ich kradzieże były więc nie tylko nie ujawniane ale często nawet nie ścigane przez nikogo.

Prasa domagała się ścisłego przestrzegania 159 artykułu carskiej ustawy o zapobieganiu przestępstw, zabraniającego Cyganom wódczości. W praktyce okazało się to nierealne nie tylko na początku naszego stulecia, ale także kilkadziesiąt lat później.

Ala w odległych wsiach słabo zaludnionych części kraju, tam gdzie brak było kowali,

blacharzy i kotlarzy, Cyganie znający to rzemiosło bywali mimo złej opinii pożądanymi, bo potrzebnymi, gośćmi.

Zwyczajnie i struktura społeczna Cyganów była ogólnie niewiele znana. Trudno przecie obserwować ludzi mówiących trudnym, wywodzącym się z Azji językiem a w dodatku nigdzie nie mieszkających. Tym większą ciekawostkę stanowił sąd, który miał się odbyć na pastwisku wsi Meżenin, powstał łomżyński, leżącej przy białostockiej szosie.

A sprawa była bardzo ważna. Dwóm Cyganom uduł się w Warszawie jakiś bardzo ryzykowny interes; prawdopodobnie sprzedali kradziony koni, na których na czysto zarobili 600 rubli. Zwyczajowe prawo cygańskie ściśle zresztą przestrzegane nakazuje aby w takich razach uwinstona została pewna kwota (ustalony procent) na rzecz „kasy cygańskiej”. Tymczasem oni dwaj Cyganie postanowili ukryć swoje zyski aby nie zapłacić należnego procentu. Sprawa się jednak wykryła. Uznano to za niezwykle przestępstwo wymagające sądu cygańskiego wójta. Sąd miał się odbyć w obecności licznego zebranej społeczności kocującej w całym kraju.

Najwidoczniej w tym czasie największy taborów wędrowała na terenie ówczesnej guberni łomżyńskiej, skoro punkt zborny wyznaczono we wsi Meżenin.

Zatarg z miejscową policją sprawił, że Cyganie musieli przenieść się do sąsiedniego powiatu i rozłożyli stoje obosobisko nie opodal wsi Jeżewo.

„Na umówiony dzień przybyło tutaj 65 wozów cygańskich, porządnych, dobre kucyki i zaprzężonych w tuste konie i mocną uprzęż a ładowanych obficie obrobkami i na pół nagą dziesiątą cygańską. Zbieranie się Cyganów i sądy prawdopodobnie innych drobniejszych spraw, trwały przez całe dni ostatni”.

Wójt cygański, szlachciz jak pisanie dość jeszcze młody, kiedy sądy sprawował, ubierał się w barwny kaftan z czterema złotymi guzikami i wielokolorowymi kurtkami. W ręku trzymał dość wysoką ozdobną laskę. Cyganie dorazili go niezwykle szacunkiem a nawet cześcią, stawiając wokół jego mądrości i bogactwa. Mówiono, że każdy z jego guzików wart jest 600 rubli.

Sąd, jak i całe życie cygańskie, odbywał się pod gołym niebem, na pastwisku obok szosy. Tylko po piwo chodzono do miejscowej gospody i przynoszono je w antykach. Z bezczule rozlewano potem złoty napój do czarnych garnuszków. Jedynie wójt po ze szklanki, a nalewano mu piwo nie w beczki, ale z białego dzbanka.

Sąd odbywał się tylko za dnia. Wieczorem znaczna część Cyganów wypruwała „na łowy” do odległych wiosek. Tak, właśnie, do odległych, bo to także cygański zwyczaj, że w ominię, gdzie się obcuje, kraść można jedynie jarzyny i drób. Po święcie, barany, krowy i przedmioty większej wartości wybierali się do odległych wiosek. Dlatego też tam gdzie rozbiżali swoje namioty, miejscowa ludność nie ustawała ich wypędzać, bo byli dla niej mniej szkodliwi.

W Jeżewie przez cztery „sadowe dni” o próbie drobitu nio nie zginiło; choć co rano słychać było kruk zarzynanej trzody chlewniej. Cygański sąd połączony był z nieustającą prawie uctą.

W ciągu tych czterech dni cygański wójt wydał kilka wyroków. W interesującym nas sprawie zapadł surowy wyrok. Drobny winowajcy musieli cały swój „zarobek warszawski” upłacić do wspólnej kasy a ponadto umieścić tamże dodatkową karę po 100 rubli.

★ ★

Dziś już nie spotyka się w Polsce wędrujących, malowanych taborów. Przed wojną i tuż po niej widywało się jeszcze cygańskie wozy pokryte wyblakłymi od słońca plandemkami, pod którymi w mlekich pierzyn wyzierały czarne, kędzierzawe główki Cyganów. Potem nadeszły czasy, kiedy Cyganie jeździli już wozami na kucych kołach ale zaprzęgni konie do pięknie pomalowanych, resorowanych barakowozów na grubych oponach. Dziś i tego już nie ma. Cyganów spotykamy jedynie na targowiskach oraz pod sklepami „Jubiler” i „Pewezu”.

EUGENIUSZ HRYNIEWICKI



NA ZDJĘCIU: Moda lat osiemdziesiątych. Repr. Z. ZAREMBA

